ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 17 czerwca 1934 r. | Nr. 25

Kazimiera Iłłakowiczówna

Jak to się dzieje, że nasi nieprzyjaciele naprawdę godni są miłości

Artykuł poniższy jest polskim przekładem odczytu, który Kazimiera Iłłakowiczówna wygłosiła w Genewie Pradze i Kopenhadze w okresie, kiedy przed Ligą Narodów Polska broniła tezy rozbrojenia moralnego. Odczyt ten napisany był po angielsku dla publiczności anglosaskiej i skandynawskiej — stąd paradoksalne chwyty autorki, mającej przed sobą publiczność bardzo specjalną — zawodowych polityków międzynarodowych, pacyfistów i cały zastęp maklerów pracujących dla różnych państw na giełdzie rozbrojenia. Iłłakowiczówna przeciwstawiła szablonom pacyfistycznym głębokie ujęcie starego przykazania o miłości nieprzyjaciół.

Motto: Nienawidzieć nie będę tych, których mi wskażą!...".
Szyller (Don Karlos).

POCZUCIE TYMCZASOWOŚCI

Świat jest miejscem szczególnem i nigdy jakoś nie mogłam się doń całkiem przyzwyczaić. Od najwcześniejszego dzieciństwa miałam zawsze dziwne uczucie, jakoby ciągłego jakiegoś prowizorjum, tymczasowości, niefinalności. Zdawało mi się, że a nuż nagle wszystko naokoło przestanie być tem, czem się być wydaje. Przypomina mi to małą moją siostrzyczkę, która — po przyjeździe z Rosji Sowieckiej w wieku lat czterech — doznała osłupienia na widok pierwszego w jej życiu parawanu. Zapytała, i dostała odpowiedź, że to, co widzi jest parawanem. „Tak", odrzekła uroczyście, „ale co to jest **naprawdę?"**

Otóż, przez czas dłuższy nie mogłam się wyzbyć pewnego jakby podejrzenia — z którem zapewne przyszłam już na świat — podejrzenia, że to, co mnie otaczało wcale nie było tem, czem formalnie być się wydawało. Kto wie, czy za następnem spojrzeniem nie zajdzie w moich oczach jakiś kompletny przewrót? Mówiłam sobie nieufnie. Miałam zawsze chęć do sondowania, próbowania, doświadczania niejako — otaczającego świata, wiedziona nieustanną nadzieją, że kryje się w nim coś zupełnie nieoczekiwanego. Chęć ta towarzyszyła mi dotąd przez całe życie i przypuszczam, że mię nie opuści aż dokońca.

CZEM RZECZY SĄ NAPRAWDĘ

Takie stanowisko może stanowczo stać się przedmiotem nagany, kto bowiem nieufnie odnosi się do rzeczywistości takiej, **jaką ona się być wydaje**, ten z pewnością odznaczać się musi niestałością i brakiem skrystalizowania pojęć. Pocieszać mi się wypada tem, że właśnie nieskrystalizowanie uważam za podstawę **usposobienia twórczego.** Należy mi wybaczyć. Jako poetka, powołana jestem do kształtowania form, jakżebym zaś mogła cokolwiek kształtować będąc **zamkniętą** w skostniałej całkowicie krystalizacji świata. Potrzebuję mieć dokoła siebie nie pustkę ani skostniałość, lecz pewną płynność, giętki chaos, od którego odrywać bym mogła cząsteczki potrzebne mi do lepienia moich światów.

Pozatem, dlaczego miałabym wierzyć codziennym **faktom** i mieć je w większem poszanowaniu niż mam tyle innych mądrzejszych i starszych odemnie możnych tego świata. Dlaczego otaczające fakty mają być bardziej wiarygodne, niż takie persony, jak Historja, Medycyna, Polityka, Fizyka, Nauki Społeczne? Wszak i te olbrzymie zjawy są pełne tajemnic i nieodkrytych lądów. Wszak drzemią w nich nieskończone możliwości. Co chwila bywamy zaskoczeni i zaniepokojeni niespodziankami z ich strony, coraz zamyślamy się nad prawdopodobieństwem czegoś nieoczekiwanego. Czy możemy zaufać im, spocząć i powiedzieć: „No, teraz wszystko jest na dobre ustalone. Ten kawałek świata jest takim, jakim się być wydaje i takim pozostanie już na zawsze wraz ze wszystkiemi faktami, które do niego należą. Dajmy już więc pokój i nie troszczmy się więcej — [illegible] najmniej o ten odcinek". Tak... Czy **możemy** istotnie zaufać i pozostawić sobie samym Historję, Medycynę, Politykę i Socjologję? Te wielkie niespokojne Demony, wraz z katastrofami krążącemi po ich orbitach. Oczywiście, że **nie możemy** i nikt tego nie zamierza zrobić. Przeciwnie — próbujemy, dłubiemy, usiłujemy odwracać, przewracać i sondować zjawiska, robimy odkrycia i zapominamy o nich i robimy je na nowo — poto, aby znaleźć **prawdziwą prawdę**, aby się dowiedzieć — jak moja mała siostrzeniczka — czem są rzeczy **naprawdę.**

RZECZYWISTOŚĆ JEST OSZUSTWEM

Nie będąc bynajmniej wielkim odkrywcą życia — jak może niejeden wśród moich słuchaczy — ograniczyłam moje pole działania do najbliższej mi rzeczywistości, do mego otoczenia, jakiekolwiek było ono w danej chwili. Większość rekonesansów poczyniłam w dzieciństwie i ośmielam się twierdzić, że zakreśliłam całkowite koło moich doświadczeń na długo przed maturą. Oczywiście niejedno koło dołączyło się później do pierwszego, ale każde z nich utwierdziło mnie coraz mocniej w przekonaniu, że fakty nie są niczem innem, jak tylko maską. Przekonywałam się coraz bardziej, że rzeczywistość jest poprostu oszustwem i że im bardziej rzecz jakaś jest dowiedziona, z tem większą nieufnością odnieść się do niej należy.

Kiedy się jest dzieckiem, dorośli nadużywają swej przewagi nad nami w sposób przechodzący wszelką miarę. Zasypywani bywamy takiemi twierdzeniami, jak — łakocie są szkodliwe, koty są fałszywe, młodzież nie powinna się zadawać ze służbą, nie należy zanadto oddawać się rozrywkom, nauka matematyki przynosi dzieciom korzyść... Nie przeczę, że dowiadywanie się prawd tych jest konieczne, gdyż stanowią one skrót wszelkiego doświadczenia, jakie zostało nagromadzone przez ludzi, od czasu — kiedy Adam i Ewa, utraciwszy raj, rozpoczęli pierwszą na tej ziemi podróż odkrywczą. Toteż, kiedy z dzieci stajemy się dorosłymi, znów nas spotyka to samo. Dostajemy w prezencie od otoczenia skrót mądrości całego świata w postaci obyczajów, tradycji i praw. Nie mam bynajmniej tutaj zamiaru rzucenia docinków **dorosłym**, bo już oddawna znajduję się w ich obozie. Równie daleką jest odemnie intencja ubliżania **prawom**, gdyż jako długoletni urzędnik państwowy aż nadto blisko nieraz stałam laboratorjów, gdzie je [illegible]... Chcę tylko mocno stwierdzić, że powinniśmy znajdować przyjemność w roztrząsaniu, wypróbowywaniu i badaniu prawd, któreśmy odziedziczyli, a badania te powinniśmy przeprowadzać tak długo, aż pod tą prawdą dziedziczną, dokoła niej i ponad nią znajdziemy nowe, nieznane prawdy, świeże kwiaty już naszej własnej hodowli... I to jest nie tylko przyjemne zajęcie, nie tylko rozrywka odkrywcza, ale poprostu — obowiązek.

TAM, GDZIE ROSNĄ NIEPRZYJACIELE NASI

Znam dziedzinę życia, która mi zawsze przypomina te prześliczne a niepłodne przestrzenie, które Anglicy z kurtuazją nazywają commons (jakby „wspólnoty"), Niemcy dźwięcznem słowem Heide, a które w Polsce mają złe, ujemne miana, jak nieużytki, manowce, dyrwany, pustacie. Są to tereny nieuprawne, cóż więc dziwnego, że w języku narodu rolniczego nazwy ich brzmią pogardliwie. Rosną na nich osty, paprocie, jałowce, żarnowiec, macierzanka, i rumianek, rosną gęsto lub skąpo, jak się zdarzy. Nie płodzi się na tych pustkach nic prócz niezdatnych krzaczysk i ziół. Spróbój je zaorać, a parskną ci w oczy kurzem piekącym. Zabłądź wśród nich, a będą cię w kółko wodzić, udając inny nieużytek, położony o milę od miejsca, kędy się znajdujesz. Nocą płoszą się na nich konie, bo księżyc odbija się tam inaczej, światło jego oślepia zamiast wsiąkać w ziemię. Tak, niewątpliwie **jest** dziedzina życia bardzo podobna do tych niepłodnych pól, dziedzina zawsze i wszędzie po świecie nieuprawna — ta, gdzie rosną **nieprzyjaciele nasi.**

Kiedyśmy byli dziećmi, wmawiano nam, że wielki, czarny pies sąsiada jest naszym wrogiem, to znaczy, że jest niebezpieczny i pełen zjadliwej złości. Zbrodnie jego liczbą dorównywały jego pchłom. Jedyny sposób na takiego psa — to unikać go, a w razie spotkania złapać za kij. Prawie równie groźnym, jak czarny pies sąsiada, był syn ogrodnika, niegrzeczny, zepsuty chłopak, wcielony djabeł, brudny i tępy i zapewne kłamczuch i złodziej, bo inaczej dlaczegóżby go matka codzień biła?!

Co ma dziecko począć. Niańka, bona, nauczycielka a nawet starsza siostra i niezamężna ciotka napełniają jego świat nieprzyjaciółmi. Stara niania opowiada mu o przerżającym topielcu, który czyha w rzece koło młyna i o leśnym człowieku, starszym niźli las, który czai się ku zgubie nieostrożnych w zaroślach. Bona sygnalizuje mu grozę kuchni i kredensu z ich swędem i grubijańską mową i obyczajem, a nauczycielki i profesorowie błagają go i podjudzają, by nie ufał Niemcom i Rosji, Francji i Ameryce, Anglji i Italji — zależnie od okoliczności i orjentacji. Starsza siostra odmalowuje małemu bratu zgubne sidła i pułapki, jakie czekają go ze strony dziewcząt, a jedyna, sędziwa babka układa dla niego z pamięci listę zastarzałych swarów i wiekowych nienawiści rodowych, błagając go, by przepowiadał sobie od czasu do czasu ten czcigodny rejestr wrogów swej rodziny. Tak więc wyruszamy w króciutką podróż naszego życia obficie zaopatrzeni w nieprzyjaciół, a jeśli mamy pamięć dobrą, a nie posiadamy wcale wyobraźni, to z bagażu tego i ciężaru nic nam nie ubędzie aż do końca naszej pielgrzymki.

Jeśli wszelako trafi się ktoś, kto posiada przy żywej wyobraźni tę płynność, to nieskrystalizowanie, o którem już powyżej była mowa, to rzeczy biorą obrót całkiem inny. To zbiorowisko niebezpieczeństw, ten labirynt waśni, ta plątanina zasadzek nie rozbudzają w takim osobniku instynktu ostrożności, ani nie utwierdzają go w ufności do starych, niezaprzeczalnych prawd. Przeciwnie, imaginacja jego żywi się poprostu grozą tych zjawisk; otwierają one przed nim nowe perspektywy, budzą w nim nienasycony głód dociekania, głód odkrywczy. Dla umysłu badawczego, ciekawego, wszystko staje się wyzwaniem i pobudką do nowych eksploracyj, nawet tak niewyszukana i ogólnie przyjęta mądrość życiowa jak ta, którą kryją w sobie przysłowia.

PRZYSŁOWIA

Nie wiem czy i do jakiego stopnia, panie i panowie, wasze narodowe przysłowia są irytujące. Wątpię, aby którykolwiek naród tak obfitował w przysłowia jak naród polski. To się nie da wprost pomyśleć! Nasza codzienna mowa roi się od przysłów, które nam, teraźniejszym, podsuwają wciąż przed oczy skamieniałe oddawna oblicze przeszłości. Kiedy człowiek sądzi, że w dyskusji wyraził myśl swą jasno ponad wszelką wątpliwość, kiedy widzi wlepione w siebie przekonane oczy słuchaczy — nieraz oponent, w obawie klęski, chwyta za oręż nielojalny, najzdradliwszy — jakby kto w pojedynku na szpady schylił się i kamieniem polnym zmiażdżył przeciwnika. Podnosi z ziemi i ciska w domniemanego zwycięzcę przysłowiem, i — zwycięzca przedzierzga się w zwyciężonego. To jest cios na który nie ma lekarstwa...

Tak naprzykład przysłowie „Mówiły jaskółki, że niedobre spółki" jest w stanie zniweczyć z kretesem plan otworzenia mleczarni spółdzielczej wśród szeregu zapadłych górskich wiosek. Przysłowie „Co wolno księciu, to nie wolno prosięciu", stanie ci, człowieku, na drodze, gdy będziesz się starał przekonać wzbogaconych ale mało rozgarniętych rodziców, że syn ich, jako fenomenalnie zdolny chłopak, winien raczej pójść do szkoły Sztuk Pięknych niż terminować w masarni... Błagam was, moi państwo, abyście w tej, obecnej chwili — podczas kiedy tu przemawiam — nie starali się wyłowić z pamięci jakiegoś niegodziwego przysłowia, aby mi niem zamknąć usta.

POLSKI MOST NA POLSKIEJ DRODZE

Skoro już mówimy o przysłowiach, muszę opowiedzieć państwu o jednem z najszczególniejszych jakie mi się zdarzyło spotkać. Dotyczy ono **mostów**, niebezpieczeństwa, przed którem, za lat dziecinnych bez końca ostrzegali mię starzy stangreci, ciotki, bony i tem podobne osobistości. Przysłowie to obraża trzy narody jednocześnie i brzmi: „Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, to wszystko błazeństwo". Nie będę się zagłębiała tutaj w dociekania na temat niemieckiego postu, ani włoskiego nabożeństwa, ale na samo wspomnienie polskiego mostu na polskiej drodze wzbiera we mnie sentyment dawny jak lata dziecięce. Wstaje z komina i pachnie dym, ścieląc się nad dachem, który dawno zdruzgotała wojna. Oto ja sama, dziewczynka z grubym warkoczem jadę linijką, powożąc bułankiem o prawdziwie litewskim charakterze. Bułanek jest powolny, rozważny i zna się na żartach. Sennie trzymam lejce: posuwamy się łagodnie po „polnej" czyli „polskiej" drodze o głębokich, miękkich koleinach. To nie to co bita droga, z francuska zwana u nas szosą. Po obu stronach ciągną się wielkie, dla nieprzyzwyczajonego oka — olbrzymie pola żyta, pszenicy, owsa i jęczmienia. Kiedy żyto zakwita, rozsiewa blado żółty pył, i wydaje słaby, niezapomniany zapach, który nie jest podobny do żadnej innej woni.

Prawie wprost z kwitnącego zboża, po obu stronach drogi, wystrzelają dwa rzędy wysokich, pogodnych, życzliwych drzew — topoli lub brzóz, klonów czy lip. Czasami szlak jest tak wąski, że pochyłe kłosy łukiem przerzucają się przezeń i jadąc linijką rozgarniam zboże na boki. Gdzieindziej wzdłuż drogi ciągnie się rów, prześliczna nieregularna fantazja, zarośnięta wysoką, soczystą trawą, jeżynami, tarniną i niezliczonemi kwitnącemi i pachnącemi ziołami. Gdzie jest taki rów, fala zboża i linja drzew oddalają się ode drogi.

Lecz nagle szlak staje się nierówny, bułanek stąpać zaczyna rozważniej i z wahaniem. Nie patrząc nawet, po zmianie tempa, poznaję że zbliżamy się do **mostu.** Most jest szary, niemalowany, przezroczysty, bardzo podobny do fantastycznego, skomplikowanego warsztatu tkackiego. Poprostu parę niezwiązanych niczem belek, wpoprzek i naukos, których ktoś kiedyś rzucił deski lub beleczki... Przez otwory — umyślnie nie nazywam ich dziurami, bowiem nigdy tam nic prócz otwartej przestrzeni nie było — przez otwory tedy widać na dwie czy trzy stopy pod mostem czarny torf, po którym przepływa, lub na którym stoi — woda. Z bagienka czy strumyczka tego wykwitają niezabudki, kaczeńce, leżą wielkie, opasłe, leniwe — jakieś wodne liście. Krategus oblepiony pszczołami, lub jasno zielona leszczyna ocieniają most.

Mój bułanek kroczy jak po szpilkach, obwąchując niejako belki i mądrze wybierając miejsca najmocniejsze". „Wielki Boże, jedno z kół zaczepiło się, czy zapadło"... Głośne „wio!", naciągnięcie wolno puszczonych lejc, wielki wysiłek kuca, rozkoszny dreszcz przerażenia, słodki przedsmak tego, co się „im tam w domu" opowie — i most jest za nami. Ta awanturnicza przygoda, ten przejmujący eksperyment, ta w kolorze przezroczysta i siwa zasadzka, zastawiona przez czarny torf i błękitne niezapominajki, a przezwyciężona dzięki ostrożności i zręczności dziecka i bułanego kuca — to wszystko razem, panie i panowie, jest właśnie Polski most na Polskiej drodze. Gdybyście państwo rozumieli po polsku, lub gdybym ja miała szczęście i zaszczyt umieć pisać poezje po angielsku — to ustęp tylko co przeczytany byłby napisany dla państwa wierszem. Wówczas tylko mogłaby to być stosowna apologja polskiej czyli polnej drogi i jej zasadniczej części składowej, polskiego mostu.

Bo, moi państwo, co robi z wami przyjaciółka wasza i dobra znajoma, tylekroć i przez tylu wychwalana droga bita? Zabiera was z miejsca gdzie jesteście. Ale taka droga, jaką ja opisałam, **sprawia, że zostajecie.** Na polnej drodze niema mowy o karkołomnym pośpiechu, o szaleńczem porzucaniu za sobą wszystkiego, co bliskie i drogie. Zdradziłam się, niema rady. Przejrzeliście mnie państwo do dna. Nie lubię tych godnych podziwu szos, chętniebym im zabroniła wkraczania na tereny poprzeszywane spokojnemi, nawpół przykrytemi zbożem, polnemi drogami, na których głęboko się znaczą ślady pracowitych kół. Od czasu wojny w Polsce dzieją się rzeczy godne pożałowania. Setkami kilometrów pobiegły po kraju, po kraju spokojnym, rolnym i leśnym, twarde, bite drogi, podobne do długich, niegustownych „dróżek" z linoleum, jakie się rozkłada po korytarzach. Wszędzie słychać ryk wzmagającego się ruchu samochodowego, czuć swąd gazów spalinowych. Zewsząd grozi kurz i nigdy niewiadomo, kiedy i skąd runie przejezdny grom w gromadę skupionych na drogach kurcząt i dzieci. Oto są skutki nieznośnej tendencji upodobnienia się Polski jaknajbardziej do reszty zachodniego świata. Lecz na jeszcze jeden skutek należy wskazać. Śmiertelna zasadzka, zaprzysiężony nieprzyjaciel bon i stangretów mego dzieciństwa, znika u nas z powierzchni ziemi. Niestety polski most, spotwarzony przez niegodziwe przysłowie, wogóle przestaje istnieć i jest mi go naprawdę żal, bo był to jeden z moich najmilszych wrogów, jeden — z najbardziej miłości godnych.

LĘK I NIENAWIŚĆ Z DZIECIŃSTWA

Jeśli zastanowimy się dobrze razem, to okaże się, że i wasza pamięć, Szanowni Państwo, pełna jest przedmiotów i osób, których nauczono was zdawna lękać się i nienawidzieć. Ja mam ich w pamięci całe mnóstwo, całe szeregi, nieraz najdziwaczniejsze w świecie, podobne nieco do tych wiązanek gorzkich — trujących czy leczniczych — ziół, które po chatach u nas wiszą pod zadymionemi pułapami, suszone na zapas... Ziół, zebranych po ugorach, po nieużytkach, tam gdzie nie rośnie nic prócz jałowca, ostów i innych chwastów.

A więc upiory, duchy, które spędzały sen z dziecięcych powiek, lub za których przyczyną budziliście się z wrzaskiem wśród nocy, czując wyraźnie na gardle dotknięcie trupich palców... Rozbójnicy i złoczyńcy, czychający po rowach i zaroślach... Bandyci i mordercy — po zaułkach wielkomiejskich... Cały ten ciemny świat podziemi, przenikający wszystkiemi porami do życia codziennego i pochłaniany przez młodocianą wyobraźnię, której podświadomość bywa zawsze niezwykle czuła na te strony życia. Powiedźcie Państwo szczerze, czy wam nie żal, że już oddawna straciliście kontakt z tymi wrogami waszych młodych lat? Czy nie szkoda uczucia ciekawości i strachu, takiego wówczas mocnego i jaskrawego!?... Co do mnie, to szczerze żałuję, że to wszystko, ta cała część mego życia zgasła — razem z polskim mostem i bułanym kucem.. I nieraz pytam się siebie samej, czy istotnie i uczciwie bałam się i nienawidziłam najstraszliwszej zjawy moich nocy dziecinnych — „Wściekłej Krowy". Prześladowała mię ona i goniła noc w noc przez szereg lat. Przez szereg nocy budziłam się z krzykiem o ratunek i siłą musiano mię pakować spowrotem do łóżka? Otóż przez tak długi czas jej nienawidziłam, że kiedy mię wreszcie opuściła, poczułam, że trudno mi się bez niej obejść... Dziś podejrzewam, że nawet w najgorszych czasach musiałam czuć do niej rodzaj przywiązania.

NIEPRZYJACIELE

Jest w tem coś, że ile razy uderzy mię myśl, do jakiego stopnia właściwie nieprzyjaciele nasi godni są miłości, tyle razy majaczą mi się cierniowe zarośla, biaława ostra trawa, bezużyteczne małe kępy czombru i macierzanki... Co jest takiego w nieprzyjacielu co mię tak wzrusza? Czy to, że taki jest do mnie niepodobny? Czy to, że widzę jego słabe strony lepiej, niż słabe strony innych ludzi? Czy może to wdzięczność za jego zajmowanie się, zaabsorbowanie mną bezustanne? Każdy lubi, aby na niego zwracano uwagę, a któż bardziej zwraca na nas uwagę od nieprzyjaciół naszych.

U nieprzyjaciół spostrzegamy szczególny rodzaj rozdrażnienia, który pochodzi z pewności, że się nam nie podobają. Otóż rozdrażnienie to dziwnie przypomina usiłowanie podobania się... Co to kogo właściwie obchodzi, co o nas mówimy lub myślimy? Owszem, jest ktoś taki. Obchodzi to nieprzyjaciela: on czy ona wykuwa na wieki w pamięci każde słowo naszej krytyki. Kiedyśmy chorzy, kogo to wzrusza, czy umrzemy czy wyzdrowiejemy! Przyjaciele — zapominają, krewni — zmęczą się i znudzą, służba — w końcu stanie się nieuważna i niedbała. Ale nieprzyjaciel czuwa, on wyczekuje ze drżeniem na ostatni biuletyn, on wie dokładnie, co doktór przepisał i jaką mieliśmy wczoraj najwyższą temperaturę.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Gralewski

Lokomotywa gościniec

Kilka dni temu jechałem koleją z Warszawy na prowincję. Pociąg był podmiejski, trochę zabawny, zdyszany, o małych, krótkich wagonach. Nie był to dalekobieżny tytan, symbol „wieku pary i elektryczności". Wszelako obyczajem swych potężniejszych współbraci wyrywał śpiesznie, niezmordowany, gdaczący, równo, prosto, jak strzelił.

W pewnej chwili minęliśmy szeroki gościniec. Pociąg przeciął go jednym zamachem. Gościniec, nieregularny i zamaszysty, pozostał za nami przecięty nudnemi kresami szyn.

Wyglądało to potrosze symbolicznie — zwycięstwo porządku mechanicznego nad porządkiem organicznym, zapisane temi dwiema buchalteryjnemi kresami, jak w księdze rachunkowej.

Maszyna, wyraz olbrzymiego postępu technicznego, wkroczyła w naszą rzeczywistość z bezwzględnością i dumą lomotywy zagranicznego kurjera, wjeżdżającego na dworzec wielkiego miasta. Triumfujący porządek mechaniczny wtargnął wszędzie. Królował buńczucznie i hałaśliwie, aż oto raptem, prawie z dnia na dzień nastąpiło załamanie. Maszyna przycichła i spokorniała, a świat wierzący w nią dotąd prawie religijnie pozostał zbity z pantałyku i nie umiejący połapać się w nowym układzie rzeczy.

Exemplum - poezja. Miała i ona okres supremacji maszyny. Poezja hali fabrycznej, poezja najszybszego pociągu, samochodu, aeroplanu. Bardzo to była grzmiąca, tytaniczna, stalowa poezja. Ileż wspaniałych słów — stal, młoty, przęsła, transmisja — ale cóż za śmiertelna nuda. Staroświecka, bynajmniej nie stalowa, drewniana piła. Wiało od tej poezji jakąś dziwną pustką tak, jakby w świecie, który ona wyrażała, nie było miejsca dla człowieka.

Poezja maszyny już zgasła po wstępnym buńczucznym wybuchu. Leży w rupieciarni, zapewne gdzieś na strychu jednej z ponuro brzydkich kamienic na beznadziejnie nudnej ulicy Złotej. Przynajmniej doskonale ją tam sobie wyobrażam. Do zgonu jej przyczyniło się być może między innemi i to, że słabe dawała widoki dla amatorów na nieśmiertelność. Bo i pocóż pisać entuzjastyczny poemat o najszybszym pociągu, kiedy za parę zaledwie lat czytelnik będzie mógł z pobłażliwym uśmiechem powiedzieć:

— Panie szanowny! Pańskie rymy wraz z lokomotywą, którą pan jeździł, na szmelc! Dziś mamy dziesięć razy szybsze pociągi i pański ślimak wcale nam nie imponuje!

Dziwna rzecz, że w czasach kiedy się wierzyło w mechaniczny postęp świata, w to że świat, jak esencja na herbatę coraz to bardziej naciąga, coraz to zbliża się do doskonałości, że poetom maszyny nie przyszło do głowy w najbardziej ważkich momentach swych wierszy, zostawiać puste miejsca, aby czytelnik mógł sobie wpisywać ołówkiem (zajrzawszy uprzednio do statystyk) aktualnie imponujące liczby i nazwy. Byłoby to rozwiązanie proste i zgodne z duchem czasu.

Poeci jednak nie zostawiali pustych miejsc i oto po całej poezji maszyny zostało puste miejsce. Puste miejsca zostały też po rozmaitych izmach, które królowały kolejno, i nastąpiło bezkrólewie. Poeci niebardzo wiedzą o czem pisać, nie wiedzą co jest nowoczesne, błąkają się samopas. Jedyna rzecz, która uchodzi i jest jeszcze nowoczesna to łamigłówki formalne, mechanika formy. Znowu mechanika.

Statystyka znakomitych asonansów i t. d., zrozumiała tylko dla inżynierów takiej poezji. Oto znowu mechanika i statystyka, która jest nowoczesną bajką, równie oderwaną od rzeczywistości, jak dawna bajka z tysiąca i jednej nocy, z tą tylko różnicą, że jest nudna, martwa, nieludzka, gdy tamta przeciwnie.

Możnaby tu zastosować słowa Chestertona w jednym z jego ostatnich artykułów w „Illustrated London News" o internacjonalistach. Każą nam oni kochać obce narody za to, że miały tylu i tylu uczonych, tylu odkrywców, tylu artystów i taki wielki przemysł (słowem za statystykę), podczas gdy za to kochać niepodobna, a miłość do obcego narodu wywołać może jakiś drobiazg z jego codziennego życia, w którym wyraża się jego charakter.

Chodzi tu o związek z rzeczywistością. Kolekcja wielkich uczonych i odkrywców to nie rzeczywistość — istnieje ona w statystyce. Niechże nam, ludziom zwykłym uwierzą poeci, że niebardzo chce się nam kochać ich poezję za statystykę jej formalnych doskonałości, skoro cała ta mechanika unosi się w obłokach, nie zawiera nic ze współczesności.

Poezja zerwała związek z współczesną rzeczywistością. Bajka jest i tytaniczna lokomotywa i pieśń gościńca z rycerzem krzyżowym, jadącym na wyprawę. Rzeczywistość ukrywa się między temi dwiema bajkami. Współczesny rycerz krzyżowy jest zwykłym człowiekiem w marynarce i szelkach (często bez szelek) i jedzie na krucjatę pociągiem. Ale do stacji dojechać musi gościńcem.

Niechże poezja zwiąże się z rzeczywistością, z przeżyciami jakich ona dostarcza, usunie na właściwe miejsce mechanizm, a wtedy będzie może „kształtem miłości". Mniejby było histerji a więcej męskości, więcej słońca, mniej kawiarni, a za to więcej życia.

A przytem — żeby tak bardziej po polsku. Naród jest żywą rzeczywistością, podczas gdy luźny zbiór ludzi, takich samych jak wszyscy inni, z pewnym tylko procentem wielkich odkrywców i wielkich uczonych — to teorja, mechaniczny wymysł, dedukowany gdzieś ponad życiem z matematycznego wzorku o równości człowieka.

Patrzmy na rzeczy bardziej poprostu. Na lokomotywę, jak na rzecz, nie jak na półboskiego tytana, ale na gościniec, jak na coś równie lokomotywie współczesnego, nie jak na bajkę przeszłości — i patrzmy bardziej po polsku, czyli szczerze.

Jeśli poeta ma być żywym człowiekiem, nie kawiarnianym histerykiem, niechże będzie albo Polakiem, albo Francuzem, albo Żydem — wszystko naraz to „nie idzie". To nie bar, żeby tak można jedną większą z kropelkami. Niema kropelek! Tylko czysta! Im głębsza tem lepsza.

Andrzej Mikułowski

Muza w niewoli

Kino, to delikatna dziedzina. Prawie tak delikatna, jak powieść kryminalna. Są to bowiem rozrywki ludowe, niezmiernie kuszące dla ludzi poważnych, którym jednocześnie nie wypada entuzjazmować się niemi.

Wszyscy chodzą do kina, ale poważna rozmowa na ten temat, a tembardziej pisanie, to rzecz ekscentryczna. W pewnych sprawach tkwimy jeszcze w epoce iluzjonu i szansonistek. Przedewszystkiem w sprawie iluzjonu. Wykręty, tłumaczące znajdowanie upodobania w niegodnej rozrywce, są rozmaite. Jedni więc chodzą do kina, bo są tam piękne widoki natury, obce kraje, i dzikie zwierzęta, których „może nigdy nie zobaczą, na jawie". Drudzy są już szczersi: powiadają, że lekka rozrywka jest obecnie koniecznością życiową wobec ciężkich wrunków życia, pozatem tani bilet, kiedy sobie nie można pozwolić na teatr i wygoda braku skrępowania godziną mają duże znaczenie, niewielu jednak spośród „elity", przyznaje się otwarcie, że chodzą do kina, że znajdują w niem przyjemność estetyczną, czy też, że dobry film traktują narówni z dobrą książką, czy dobrą sztuką w teatrze. Niewielu stoi na stanowisku, że wogóle nie potrzebują się tłumaczyć ze swego upodobania w kinie.

Żyjemy w takim chaosie kulturalnym, że stosunek do sztuki jest bardzo niewyraźny. Sztuka jest obecnie pewnym szlachetniejszym rodzajem rozrywki, a często przykrym obowiązkiem towarzyskim. Bo, prawdę mówiąc, często przeczytanie modnej powieści — „arcydzieła", lub pójście na premjerę wymaga nielada poświęcenia. Sztuka jest w pachcie geszeftu — żadna jej gałąź nie jest od tego nieszlachetnego związku wolna. Dla wielu snobów jednakże stosunki te są dużą ulgą w dostosowywaniu się do ciężkiej konieczności odgrywania roli melomana. A więc naprzykład teatr lekko ale coraz mocniej zbacza na drogę do stania się tylko widowiskiem. Nie jest przypadkiem, że Reinhardt i jego wyznawcy reprezentują ostatni krzyk „postępu" w sztuce. A i do „Kupca weneckiego" wstawiono ostatnio w Warszawie całe sceny, aby nieco ożywić przestarzałego Szekspira. Literatura znowu zbacza ku pornografji. Takie tendencje jeszcze bardziej zacierają różnicę między uświęconemi sztukami, a kinem. Łączą je wspólne niedole. Dziesiąta muza zanim zdołała sobie wywalczyć stołeczek na Parnasie, dostała się w niewolę, nietyle egipską, ile żydowską, niewolę geszeftu, większą od tej, którą cierpią jej starsze siostrzyce.

Czy kino jest sztuką? Kołtuny powiadają, że nie, bo ludzie porządni nie chodzą do iluzjonu; wielbiciele mówią, że tak, bez zastrzeżeń; w tym parlamencie sędziów sztuki istnieje takie centrum, które stoi na stanowisku, że mogłaby to być sztuka, ale znajduje się w nieodpowiednich rękach i dlatego nie wznosi się ponad poziom widowiska. Jakie argumenty ma opozycja? Te same co opozycja w stosunku do fotografiki: kino nie jest sztuką, tylko małpowaniem środków, tak jak fotografika jest małpowaniem malarstwa i grafiki.

Twierdzenie to nie jest słuszne, przedewszystkiem zaś jest zarzutem tylko pozornym. Choćby nawet kino było odmianą teatru, czy też jego naśladownictwem przy pomocy innego materjału, formy zewnętrznej, nie dowodzi to jeszcze, żeby miało nie mieć prawa do nazwy sztuki. Po drugie, jednak i przedewszystkiem tylko film niezrozumiany przez twórców i nieodpowiednio postawiony jest naśladownictwem teatru, tak, jak tylko fotografja niezrozumiana jest naśladownictwem grafiki i malarstwa. Kino rozporządza inemi możliwościami i innym materjałem formy i dlatego inaczej też powinno wyglądać od teatru. Jednakże cel zasadniczy i treść wewnętrzna zostaje ta sama, wspólna wszystkim sztukom. Kino jest zdolne przedstawiać doświadczenie ludzkie w formie piękna. Każdy kto widział filmy René Clair'a, Czterech jeźdźców Apokalipsy", czy „Krew na piasku", „Annę Kareninę", czy „Atlantic" i uczciwie podchodzi do zagadnienia, wie, że to jest prawda.

Jednakże przedstawiać doświadczenie ludzkie w formie piękna może tylko artysta — w kinie zaś [illegible] trzech rodzajów artystów i scenarzysty, reżysera i aktora. Pierwszy daje temat, drugi inscenizuje go, trzeci wlewa weń życie. Jednakże wszyscy trzej są skrępowani względem na [illegible]. Poziom wykonania filmu zależy zawsze od warunków materjalnych produkcji. Wiersz można napisać nawet patykiem na piasku. Film natomiast jest wynikiem długiej i żmudnej pracy, połączonej z dużym kosztem. Nawet przy obniżeniu fantastycznych gaż artystów, koszty są bardzo znaczne, wobec konieczności zużycia dużej ilości taśmy i innych materjałów, na dużą ilość prób i wobec kosztowności inscenizacji.

Aby zdobyć środki na realizację filmu, trzeba dobrze sprzedać film poprzedni, a więc zyskać dla niego dużą popularność i tem zapewnić jego kasowość. Tutaj są dwa sposoby: reklama i kierowanie się ściśle potrzebami rynku. Oba względy są wykorzystane do maksimum i oba najbardziej krępujące dla prawdziwej sztuki. Pierwszy eksploatuje życie prywatne artystów, pozbawiając ich możności skupienia się, wzniesienia się na wyższy poziom przez zmuszanie ich do nienormalnego życia, pełnego sztucznie fabrykowanych sensacyj. Aktor żeby był popularny, musi mieć niezwykłe przejścia, musi opływać w dostatku, musi mieć nadzwyczajne przygody. Tłum amerykański wynagradza sobie, choćby w części, najdotkliwsze niedomaganie republikanizmu — brak króla — gapieniem się na pompę Hollywood'u. Dla tłumu bowiem jest film przeznaczony, tłum może dostarczyć największych funduszów.

Biedna dziesiąta muza, sierota-podrzutek, poszła na garnuszek do najokrutniejszej macochy — Ameryki. Tam filmy produkuje się jak samochody Forda: znakomicie wykończone w szczegółach, ale seryjne; familijne, sportowe, dwuosobowe i t. d. Elita gardzi filmem, bo ją snobizm od niego odgradza, ale i tak elita film poprze, jeżeli nie jako sztukę, to jako widowisko. Natomiast dla tłumu stanie się ono chlebem powszednim, artykułem pierwszej potrzeby. A wiadomo, że na takich artykułach najwięcej można zarobić. Staje się kino sztuką na zamówienie; a taka sztuka nigdy nie może być wielką sztuką.

Najwięcej cierpi na tem scenarzysta. Ten musi płodzić hurtowe historyjki o miljonerach i maszynistkach, o szczęściu na morzach południowych. Reżyser musi dodawać różne ornamenty, na które jest zapotrzebowanie: girls, albo piękne widoki, mecze sportowe, albo tekturową egzotykę. Ale pozatem ma w obrębie scenarjusza wolną rękę. A wiadomo, że prawdziwy artysta może z każdego tematu zrobić arcydzieło. Jeszcze większe pole działania ma aktor. Z każdej banalnej postaci może stworzyć człowieka żywego. A to już jest sztuka.

Kino ma przed sobą możliwości olbrzymie, jest jednak sztuką w niewoli

Bolesław Lutomski

Fatum

I.

Trzeba pamiętać, że rusyfikacja zwłaszcza po powstaniu styczniowem była wieloraka: Jedna płynęła szeroką, czarną lawą błota, zatapiała wszystko na swojej drodze, psuła i kaziła nasze tradycje i obyczaje, każdy urzędnik, każdy nauczyciel, każdy policjant, każdy mniejszy lub większy satrapa był jej gońcem, agentem, wykonawcą. I pod tym względem dopięli oni swego dzieła: zatruli Polskę i „kraje zabrane", podważyli u fundamentów moralność publiczną, na nieznaną w historji skalę przedsięwzieli hodowlę zboczeńców, psychopatów, narwańców, megalomanów, pomnożyli do nieskończoności liczbę egzystencyj katylinarnych i kryminalnych, Polska stała się muzeum patologicznem.

Druga rusyfikacja płynęła z twórczości rosyjskiej, z jej literatury i filozofji, z wielkich natchnień i z większych jeszcze cierpień. Niektóre narody wschodnie — dodajemy — przed swym upadkiem politycznym zajaśniały dziełami ducha, wyobraźni, estetyki, nawet wiedzy ścisłej. Arabowie położyli wielkie zasługi na polu architektury, medycyny, astronomji, styl maurytański w pomnikowych budowlach, zamkach, pałacach i muzeach olśniewa każdego, kto odczuwa piękno i nieśmiertelność, poezja perska znów ma zawierać przedziwne głębie i szczyty. Literatura rosyjska zdobyła również Europę w ostatniej ćwierci minionego wieku i wielcy jej koryfeusze z owego czasu zdobycz tę utrzymali. Po ogromnej wojnie, po tylu katastrofach i wstrząśnieniach, które zmiotły z powierzchni dawne Imperjum carów, gdy nie zostało kamienia na kamieniu z twierdzy despotyzmu, tak długo urągającego duchowi czasu, rozwojowi, sprawiedliwości, tak długo depczących nogami polityczne i moralne dążenia ludów podbitych, fikcja, zwana literaturą, pozostała, tymczasem zaś fakt realny, zwany potęgą polityczną, obrócił się w fikcję, rozwiał się w mgłach i oparach krwi. Od czasu zwłaszcza, gdy Vogué napisał rozprawę o romansie rosyjskim, imiona Tołstoja, Dostojewskiego i Turgeniewa nie zeszły już z kart krytyki europejskiej i pozostały tam po dziś dzień. Tomasz Mann i Barbusse znów oto powiadają, że od owej wielkiej epoki romansu rosyjskiego, literatura europejska nie wydała i nie wydaje nic im równego; pierwszy mówi, że nawet nic godniejszego uwagi.

Takie doraźne orzeczenia, wypowiadane przy danej okoliczności, lśniące paradoksem i dowcipem, nie są jeszcze granitowemi wyrokami historji. Przecież według Fryderyka Nietschego, literatura europejska od czasu tragedji greckiej także nie zasługuje na zajmowanie się nią.

W czem jednak leży tajemnica tego nadzwyczajnego powodzenia i olśnienia? Jaką to była tajemnico, że epopeja rosyjska, zawierająca tyle opisów okrucieństwa i zbrodni, nieprawości i szpetności, utrwaliła na dłuższy czas swoje panowanie w świecie?

Oto posiadała ona dar wywoływania wielkich wzruszeń i wstrząsania aż do gruntu sumieniem. Nie wielu było takich od czasu św. Pawła i św. Augustyna, którzyby sięgali tak w głąb sumienia, jak Włodzimierz Sołowiew, zwłaszcza zaś Lew Tołstoj w „Zmartwychwstaniu", potem zaś w tylu pismach rosyjskich i polemicznych. Teologowie zwłaszcza prawosławni, ze szkoły Pobiedonoscewa i świętobliwego Synodu nie szczędzili szyderstwa i przekleństwa mędrcowi z Jasnej Polany spowodu tych licznych broszur, sporów i odezw do żołnierzy i robotników, do inteligencji, do popów, nazywali go jużto anarchistą, jużto opętanym przez djabła, jużto nieukiem.

Tołstoj w „Wojnie i Pokoju", w „Annie Kareninie", nadewszystko w „Zmartwychwstaniu" i jeszcze w swoich traktatach moralnych, wprowadził nas do wnętrza świata rosyjskiego, do jego psychologji i obyczajów, nieskończonych cierpień i nieopisanych występków, gwałtów władzy u góry, rozprężenia i anarchji u dołu. Despotyzm władców miał swój odpowiednik w anarchji i zamachach spiskowców, te dwa elementy zmieniają się kolejno, prześcigają się wzajemnie w okrucieństwach i niedorzecznościach, naród traci najlepsze swoje siły i najdzielniejszych ludzi, nareszcie znękany i wyczerpany pada na długo pod brzemieniem dziedzicznego spadku, niezdolny do owocnej pracy, do stopniowego i rytmicznego rozwoju, który stał się symbolem społeczeństw łacińskich i germańskich.

Stoimy tutaj wobec faktów przyrody, o które, jak o zręby granitu, rozbijają się wszelkie kombinacje, życzenia i przypuszczenia. Umysł rosyjski nie rozwijał się, jak francuski, według reguł logiki łacińskiej; nie dążył, jak niemieckie, w niezachwianych nigdy wysileniach do systematycznego badania pojęć i rzeczy, do szukania istotnego wątku, poza pozorami i przypadkowościami; brakuje mu też praktyczności i samodzielności umysłu angielskiego, skąd pochodzą wielkie zalety indywidualne tego narodu, energja, stanowczość i liczenie na samego siebie. Potrafi on być Prometeuszem w poezji, buchalterem — w praktyce.

Duchowość rosyjska była odrębnym, ciemnym i zagmatwanym światem, napełnionym krwawemi widmami, w którym od tylu wieków rozlegają się jęki mordowanych i katowanych ofiar, brutalne okrzyki znęcających się oprawców, dzikie „hurra" zdobywców, sięgających po coraz nowe kraje; widzimy tam odbicie rozpaczliwych wysilków spiskowców, podkopujących się pod fundamenty tej ponurej budowy, widzimy tłum dziki i ciemny, pogrążony w nędzy i pijaństwie i najsprośniejszych obyczajach, niezliczone sekty religijne, których wzrost cerkiew rządowa daremnie stłumić usiłowała, cyniczne i rozpasane czynownictwo, poczytujące państwo za swoją własność, satrapów, otrzymujących ordery i godności za łupiestwa i okrucieństwa, świat wyższy próżny i próżniaczy, zepsuty i zabobonny, ubiegający się o dary, łaski i synekury u cara i dworu.

Literatura rosyjska potrafiła objąć ten cały konglomerat, ten zbrodniczy i okropny świat. Wyznać trzeba, że uczyniła to z talentem, z intuicją, z niepospolitą prawdą psychologiczną, niekiedy — z genjuszem.

Umiłowała ona szczególnie upośledzonych i wydziedziczonych, ofiary zepsutej władzy państwowej i nędzarzy ustroju społecznego, wygnańców i tułaczów, pijaków i prostytutki, sięgała niejednokrotnie do głębi ich sumienia, ażeby tam rozniecić iskrę szlachetną, pierwiastek boski w człowieku. Nuta wschodniej rozpaczy jest najznamienniejszą w literaturze rosyjskiej, której wtóruje świst zawiei na równinach wielkoruskich lub puszczach Syberji.

Duchowość rosyjska z jej stronami dodatniemi i ujemnemi znalazła swego najpotężniejszego wyobraziciela właśnie w Tołstoju. Przyroda i ludzie, pokorny mistycyzm dręczonych i tępy egoizm ciemiężycieli, dalekie gościńce Sybiru ze słaniającymi się po nich przestępcami politycznemi, salony Moskwy i Petersburga, potworna nędza u dołu i bajeczne bogactwa u góry, nadewszystko zaś indywiduum ludzkie na wszystkich szczeblach rozwoju i upadku, w najdelikatniejszych drganiach duszy i najrzewniejszej miłości bliźniego, z drugiej znów strony w całej nagości plaskich żądz i potrzeb, nareszcie przeobrażenie moralne i religijne, obejmujące człowieka — oto rozległa strefa twórczości Tołstoja, gdzie jego genjusz oświecał drogi życia i wskazywał drogę odrodzenia sumieniu ludzkiemu.

Jednakże nad tą literaturą rosyjską zawisł ciężar przeznaczenia. Oto stała się ona więźniem we własnem królestwie, uległa tej naturze rzeczy, spod której nikt wyłamać się nie potrafi, temu przyrodzonemu, historycznemu i społecznemu otoczeniu, które odbijała w swoich utworach. Groza rzeczywistości nadłamała jej skrzydła twórcze, zamąciła linje logiczne i umysł rosyjski, jakby zatruty zabójczemi gazami, dobywającemi się ze wszystkich szczelin, nie posiadał dostatecznej jasności sądu, ani istotnego planu konstrukcji, ani jaśniejszego pojęcia rozwoju w dziedzinie politycznej.

Nikt nie rzuca tak łatwo, jak

Zdzisław Broncel

Jętki literackie

Literatura faktu ma się ku końcowi. Przestała już być nowością i wynalazkiem. Stała się szablonem i modą literacką, a takie upowszechnienie jakiejś formy literackiej znaczy, że forma spełniła swoją rolę, przestała być czynnikiem kształtującym. Sposób wypowiadania się został w literaturze znów jakby zniwelowany, ujęty w karby żądań prostoty, zwięzłości, związku z rzeczywistością i właśnie w tej niwelacji, gdy zaczął wytwarzać się jeden poziom, znów trzeba wyskoku i rozsadzania monotonnej równi.

O ileż prędzej przeżył się nasz współczesny reportażowy gatunek, niż np. moda romantyczna pozytywistyczna, czy młodo-polska. Literatura obserwacji, notaty, w samej swojej podstawie miała to, co ją teraz skreśla.

Przejrzyjmy księgarnie, obejdźmy wystawy wyprzedażowe — ileż tam leży książek, wczoraj ważnych, omawianych, doniosłych, a dziś stanowiących nieledwie makulaturę. To samo z teatrem. Jakie sztuki ze współczesnego repertuaru powojennego i — o temacie współczesnym — mają tyle życia, żeby jeszcze raz przemierzyć scenę? Komedje anflacyjne dziś w dobie deflacji możnaby wystawiać chyba dla celów groteskowych. Sztuki o tendencjach komunistycznych, do niedawna tak bardzo popularne, dziś idą do lamusa. Powieści z rewolucji rosyjskiej przebrzmiały, byłoby śmiesznie pasjonować się dziś reportażem z teroru Czeki, zamiast przeczytać sowiecką epopeję fabryki albo miejskiego kolektywu. Spadły już do poziomu antykwarni i okazyjnego handlu na Świętokrzyskiej powieści i reportaże spod znaku „Brunatnej Księgi". Nawet takie zdarzenie, jak wojna światowa, nie dała literaturze faktu dostatecznego oparcia. Remarque nie jest dziś książką wystawy, ale książką składu za ostatniemi szafami księgarni.

Ta szybkość z jaką współczesny i zgodny z tendencjami współczesności utwór literacki wali się w zapomnienie, jest ostrzeżeniem. Oznacza, że literatura produkuje krótkotrwały ersatz, że trwoni siły na krótki błysk efektu, a nie na budowę. Tem samem zostaje zagrożona sztuka. Reportaż, choćby skonstruowany świadomie i artystycznie, napisany stylem, na jaki może się zdobyć tylko wielki talent, jednak oddala się od sztuki. To, że mamy dzieło takie, jak „Noce i Dnie" Dąbrowskiej, nie zmieni stwierdzenia, że prąd płynie inaczej.

Pod tym względem charakterystyczne są debiuty. Jeżeli już nie pierwszą książkę, to przynajmniej drugą autor czyni utworem społecznym. Opiera ją na reportażu. Społeczność książki polega na jej intencji rejestracyjnej. Autor notuje bezrobocie, obrazuje bezrobocie, odgrywa rolę sygnału, jest jakby znakiem wystawionym na mieliźnie. Ten znak woła — tu jest miejsce niebezpieczne. Omijajcie je.

I tyle. Informacje i nic więcej. Debjutant sam to miejsce niebezpieczne omija, zarabiając na książce o bezrobotnych. Jest osobliwym szczegółem i całej naszej sytuacji społecznej i sytuacji w literaturze, że bezrobocie stało się dla literatów złotą żyłą. Tak jak za Byrona pogarda dla świata była terenem eksplotacji, tak teraz źródłem utrzymania może być współczucie. Gdyby nawet ów literat - społecznik żył za ostatnie grosze, a wszystko oddawał bezrobotnym, to i to byłoby jakieś małe, mazgajskie i tchórzliwe.

Bo właśnie taką jest literatura faktu. Jest statyczna i nieruchoma. Opisuje teraźniejszość, a nie wybiega w przyszłość. Odtwarza fakt, zamiast go tworzyć. Zrezygnowała z bohaterskiej roli sztuki, z narzucania swych idei życiu. Jest nie koryfeuszem, tylko ostatnim maruderem, który protokułuje wszystko, co stało się, co już nie tętni, już się zasklepia i kostnieje.

To tkwiło w samem haśle literatury faktu. Akompanjować życiu, informować o życiu. Swoiste współczesne nowinkarstwo. Było to dobre dopóty, dopóki zdzierało się zasłonę, demaskowało fakty, ukrywane przed społeczeństwem, ale jest przeżytkiem, gdy zamienia się w wywalanie drzwi otwartych. Pierwsza informacja ma wartość. Powtarzanie tej informacji jest nudziarstwem i wystarcza świadectwo, że nie potrafi się wyjść poza recytowanie jednej i tej samej rzeczy.

Bezrobocie. Oto doskonała książka o bezrobociu. „Ci ludzie" Heleny Boguszewskiej. Ukazała się mniej więcej półtora roku temu, krytyka przyjęła ją entuzjastycznie, pisano, że niedługo jednym tchem będziemy wymieniać Dąbrowską, Nałkowską i Boguszewską. Chwalono zalety kompozycji i zalety stylu. Ta książka — to widać—musiała być bliska sercu recenzentów. Musiała czemś z sobą związać, dać wymowę prawdy, może nawet poruszyć sumienie. „Ci ludzie" Boguszewskiej urośli do sensacji literackiej, do książki dnia.

Przeczytałem ją dopiero teraz. Pozostała książką dobrą, ale przestała być książką wystarczającą, książką poruszającą. Straciła swoją wymowę. Zmalała do karlej miary. Bo cóż dał ten powieściowy reportaż? Czy przeraził grozą bezrobocia? Przecież wobec „Pamiętników bezrobotnych" ta groza jest mizerna. Czy dał pełnię przeżycia estetycznego? Nie — Boguszewska tworzyła obrazki, migawki robione z talentem ale blaknące, jak słabe pismo. Talent Boguszewskiej wyniósł temat, szary temat, życie bezrobotnych i „starających się o coś" do poziomu utworu literackiego, ale za ten związek z tematem trzeba było zapłacić.

Temat wziął swój odwet. Temu drzewu, które sadził talent, podciął korzenie. Jeżeli „Ci ludzie" zrobili w swoim czasie takie wrażenie i jeżeli dziś tak odbiegliśmy od tej książki, to znaczy, że przyszła zmiana. Zmiana polega na tem, że obecnie nie wystarcza nam wobec bezrobocia stosunek współczucia i obawy. Słowo „bezrobocie" nie wywołuje ucisku serca, lecz jest ostrzem, wzbudzającem gniew, protest i dążenie do czynu. Bezwolność literatury faktu wynika z jej bezsilności wobec życia. Jest to tylko stawianie problemów, przy zupełnej niezdolności do ich rozstrzygnięcia. Jest to tak, jakby szachista umiał wyłącznie układać zadania szachowe, a nie potrafił rozegrać partji.

Po „Pamiętnikach bezrobotnych", po pełnem uświadomieniu sobie klęski bezrobocia, reportaż tego rodzaju, jak „Ci ludzie" Boguszewskiej niema racji bytu. Zadanie znamy wszyscy, nie trzeba go nam powtarzać w innej postaci. Wiemy, jakie są współczesne nieszczęścia i hańby. Żądamy wreszcie postawy twórczej i literatury rozwiązań, a nie zagadek. Literatury walki, a nie literatury tyłów, opowiadającej o tem, co się dzieje na linji frontu.

W tem tkwi odwet tematu. Temat utwierdził Boguszewską w czasie. Przykuł do daty, do jednego momentu przemian społecznych. Na tem tle zjawia się doniosłe zagadnienie literackie. Jak przezwyciężyć tę datę, ten czas, tę współczesność? Jak za współczesnego utworu literackiego sięgnąć do dzieła sztuki? Jak zamienić życie literackiej jednodniowej jętki na trwanie w historji literatury?

Droga odwieczna. Dać właśnie to, co jest wieczne. Albo niezmienność losów jednostki, albo historję społeczeństwa. Linja tragedji greckiej jest do utrzymania nawet w czasach najgorszej niechęci do indywidualności. Z naszej rzeczywistości można wziąć kontur, tło, okoliczności, ale trzeba z tego wydobyć wieczystego człowieka. Dziś, właśnie dziś, dla zrównoważenia seryjnego kolektywizmu, dla przeciwdziałania standartom trzeba nam dzieła o jednostce. Gdyby Boguszewska pisała o jednym człowieku, o jednej rodzinie z owego przedmieścia Pragi, z „Tych ludzi" i gdyby pisała tak, jak Hamsun pisał „Głód", książka jej nie postarzałaby się w ciągu półtoraroku.

Jest jeszcze drugie wyjście. Pisać o sprawach aktualnych, czerpać do dna z teraźniejszości, lecz inaczej, niż to czyniono dotychczas. Reportaż zamienić w przepowiednię, rejestrację faktów w planowanie przyszłości, znaki zapytania w twierdzenia i hasła, statykę w dynamikę, biadolenie w walkę.

Gdy pisze się o troskach powszednich powszedniego człowieka, gdy się szkicuje wygląd dnia — książka musi przebrzmieć, gdyż dzień nie jest historją, zdarzenie z życia bezrobotnego—zdarzeniem wielkiej wagi. Trzeba dokument dnia zamienić w dokument historji, a losom małego człowieka nadać wagę przez indywidualizację, przez wydobycie ogromu człowieczeństwa. Tu niech nawet będzie sztuka dla sztuki, byle wielka i trwała.

A kto chce tematu społecznego, kto szuka wspomnianego wyżej drugiego wyjścia, ten niech przedstawi postawę społeczeństwa wobec współczesności, niech terenem sprawy bezrobocia będzie mu naród, a nie „Przedmieście". Niech nie szuka u czytelnika współczucia, tylko niech zapała obrazem walki, jaką społeczność toczy z nieszczęściem. Wtedy będzie to r e p o r t a ż h i s t o r j i, dokument, który nie rozsypie się w proch z dnia na dzień, będzie to epopeja.

Literatura faktu zstępuje w grób. Należy się jej pogrzeb pierwszej klasy. Zasłużyła na niego, spełniając rolę uświadamiania nam rzeczywistości. Była nauczycielką, zasłużonym informatorem, w szlachetnem znaczeniu tego słowa — reporterem. Dziś chora jest na niedowład artystyczny i niedowład społeczny. Brak jej blasku i siły. I trzeba ją pochować czemprędzej, bo ma już trupi dech i zaraża nas. Czy zauważyliście, że literatura faktu wydaje człowieka na łup rozpaczy, że przedstawia zło, trudności życia, beznadziejność. Że mówi nam o naszej chorobie, a nie daje żadnego leku. Co uczynilibyście z lekarzem, któryby tak postępował?

Czas skończyć z płaczem, z narzekaniem, z mazgajstwem. Czas oduczyć się padania plackiem przed każdym naporem losu, czas splunąć w garście i stanąć do zmian! do zmian!

A literaturę zmienić w krynicę, w pokrzepiający czysty zdrój dla pracy, zasypać zgniłe, zatrute, czarne studnie literatury faktu. Przebić nowe źródła - literatury rewolucji!

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BILGELEISEN L. W.: Zofja Daszyńska-Golińska jako okonomistka 8° str. 24. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.80.

CHARSZEWSKI X.: Nie kanonizować lecz anatematyzować. 8° str. 36. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

GERMAN FR.: Głos duszy i serca. 8° str. 69. Brzeżany 1934. B. Połoniecki. Zł. 0.20.

Historja sztuki: HAMAN R. Dzieje sztuki od epoki starochrześcijańskiej do czasów obecnych. Tłum. M. Wallis, Walicki M. i Starzyński J. Dzieje sztuki polskiej. 8° str. 129—256 z II z 163 ilustr. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 4.—.

JANKOWIAK J. DR.: Zarys fizjoterapji dla lekarzy-praktyków i studentów medycyny. 8° str. 233 z 66 rys. Poznań 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 5.—.

KĘDZIERSKI A.: Zdzisław Jasiński 1863 — 1932. Z ilustr. Foljo 26. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.—.

LONGCHAMPS DE BERIER ROMAN PROF. DR.: Zobowiązania. Z. 1. 8° str. 128. Lwów 1934. Gubrynowicz i syn. Całość zł. 20.—.

MARSZEWSKA-ZIEMIĘCKA J. DR.: Stacja doświadczalno-rolnicza w Rothamsted. Z 6 ilustr. 8° str. 31. Puławy 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.—.

MIANOWSKI H. i BERGER L.: Len w polskiej strukturze gospodarczej. Z przedmową S. Schmidta oraz Memorjał Izby Przemysłowo-Handlowej w Krakowie w sprawie poparcia produkcji lniarskiej w Zachodniej Małopolsce. 8° str. VII + 93. Kraków 1934. Dom Książki Polskie. Zł. 3.50.

NOWACKI TADEUSZ: Na papierowych szynach. Powieść. 8° str. 452. Warszawa 1934. J. Przeworski Zł. 7.—.

NOWAKOWSKI ST.: Esenata. Poezje. 8° str. 101. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.—.

Ordynacja podatkowa. Ustawa z 15 marca 1934. Opracowali dr. J. Bassches i J. Korkis. 8° str. 143. Lwów 1934. Księgarnia „Ewer" Zł. 2.40.

Orzecznictwo Najwyż. Trybunału Administr. za lata 1930 — 1933. T. IV. W opracowaniu T. SIKORSKIEGO. 8° str. 154. Wilno 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 4.—.

PIESZKO M. M.: Przewodnik po Zamościu i okolicy. 8° str. 99. Zamość 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.50.

PILECKI J.: Zagadnienie władzy zwierzchniczej w państwie. 8° str. 40. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.25.

PLATON: Eutyfron. Przełożył Wł. Witwicki. 8°. Str. 36 Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.60.

PŁOMIEŃSKI J. E.: Szukanie współczesności. Studja i glossy literackie. 8°. Str. 221. Warszawa. 1934. F. Hösick. Zł 6.

PREUS W.: Zagadnienia żydowskiego ruchu robotniczego w Palestynie. Przekład I. Korkisa. 8°. Str. 201. Lwów, 1934. Księgarnia „Ewer". Zł. 4.20.

PUCKI G.: Nauka pływania crawlem. Z 57 rys. 8°. Str. 103. Lwów, 1934. Księgarnia Nowości. Zł. 2.90.

RABINOWICZ, Z. dr.: Współczesna ewolucja antropologji kryminalnej. 8°. Str. 134. Warszawa, 1934. Bibljoteka Prawnicza Zł. 6.

Rocznik Służby Zagranicznej Rzeczypospolitej Polskiej według stanu na 1 kwietnia 1934. 8° str. 240 i 101. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 10.—.

RATUSIŃSKI P. dr.: Miłość w polskiej poezji romantycznej. 8°. Str. 88. Złoczów 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.25.

REGUŁA J. A.: Historja komunistycznej partji Polski w świetle faktów i dokumentów. 8° Str. 256. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.60.

SEIDLER T.: Jednostka, państwo, rząd. Próba syntezy. 8° Str. 95. Warszawa, 1934. F. Hösick. Zł. 3.

TWARDOWSKI K.: O tak zwanych prawdach względnych. 8° str. 44. Lwów 1934. Książnica-Atlas Zł. 0.60.

WIKTOR J.: Na paryskim bruku. 8° str. 87. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

WITWICKI WŁ.: Analiza psychologiczna ambicji. 8° str. 44. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 0.60.

Rosjanin, szerokiemi, liberalnemi i humanitarnemi frazesami, które go jednak do niczego nie obowiązują ani w myśleniu, ani w postępowaniu. Prawdziwe wykształcenie umysłowe i rzetelność moralna nie jest dziełem ani jednego pokolenia, ani jednego stulecia, one wymagają długiej uprawy, dobrych tradycyj, wypróbowanych przez doświadczenie kryterjów. Umysłowi rosyjskiemu brakowało tych wielowiekowych podań, tradycji i ciągłości rozwoju, nie miał on nigdy przed oczyma ani logicznej konstrukcji politycznej ani cnót obywatelskich, ani godności względem władzy. Łaski cara wynosiły jednych, strącały drugich, obyczaje wschodnie przetrwały po dziś dzień i Rosjanin był też igraszką tych stosunków, tego bytu koczowniczego, tej samowoli i swawoli, tego azjatyzmu w najgorszym rodzaju, który prawdopodobnie nie prędko wyeliminowany zostanie.

z propozycją zaniechania kampan

Wpływy literatury rosyjskiej na umysły polskie, zwłaszcza na umysły młodzieży, były szkodliwe, ujemne, destrukcyjne. Wpływy te, o ile ich nie równoważyły inne, ze świadomości i tradycji narodowej pochodzące, były przeczące i dezorganiczne, kiedy nam było i obecnie potrzeba twierdzących i organicznych.

Cóż bowiem widzieliśmy u siebie? Oto rozprzęganie się umysłu i osobowości, fatalne zanikanie dyscypliny moralnej i umysłowej. Proces ten, widziany już w całej wyrazistości przez Skargę pod koniec XVI w. w jego kazaniach sejmowych, trwał trzy stulecia zgórą i tylko dobroczynnym, choć krótkim przerwom zawdzięczać należałoby, że nie zniszczył i nie rozpuścił w cieczy stałych cząstek naszej narodowości. W tych przerwach zjawiali się dzielni budowniczowie i umiejętnie brali się do politycznej i moralnej konstrukcji. Tak było w drugiej połowie XVIII-go wieku, kiedy gruntownie poprawić usiłowano Rzeczpospolitą, tak za Sejmu czteroletniego, Księstwa Warszawskiego i w niektórych momentach Królestwa Kongresowego. Potem, kiedy form państwowych nie stało, w ciężkich warunkach chwytają sposobne, ale rzadkie chwile do rozpoczynania na nowo budowy: Libelt, Karol Marcinkowski, Edward Raczyński w Poznańskiem, Towarzystwo Rolnicze, Andrzej Zamoyski i jego przeciwnik Aleksander Wielopolski w Królestwie, nareszcie Smolka, Ziemiałkowski, Leon Sapieha. Stanisław Szczepanowski, Walerjan Kalinka, Stanisław Tarnowski w Galicji.

Literatura rosyjska niosła nam zarazę anarchji. Umysły nasze, któreby wymagały czystych natchnień, zdrowego pokarmu i wzoru dla wewnętrznego układu, czerpały z niej za dużo rozstroju, zepsucia, dzikości. Była ona ciekawą, w wielu utworach głęboką i potężną, lecz tylko ludzie odporni i wykształceni obcować z nią potrafili bezkarnie.

Wstrząsające jej wzruszenia przenikały do dna sumienia. Ale ten dar wywoływania wielkich wzruszeń i przenikania nawskroś sumienia, to okazanie istoty bytu w całej jego grozie, nieskończona skala cierpień, rzadko spotykana w tych rozmiarach w literaturze powszechnej, podziw, wywołany na szerokim świecie — to wszystko zostało, jak widzieliśmy, bardzo drogo okupione. Trzeba było przedtem kilku wieków mordowanych ofiar, trzeba było miljonów upośledzonych i wydziedziczonych i najokropniejszego znikczemnienia całego ustroju państwowego.

Pierwowzoru tych potworności szukaćby trzeba w starożytnych monarchjach wschodnich, w Assyrji i Babilonie, w chanatach tatarskich, u władców mongolskich o ile one w Rosji przewyższone nie zostały.

Oczywiście jednak, że każdy naród ze starą cywilizacją, z wielkiemi tradycjami i ugruntowanemi zasadami, z normami życia politycznego, moralnego i towarzyskiego, nie wymieni swego dobytku wieków na przemijającą sławę dzieł i arcydzieł literatury. Są bowiem większe wartości historyczne, lepiej zabezpieczające trwałość i pomyślność narodu niż dzieła słowa i sztuki, które nie odsuną o jeden dzień katastrofy, nie odsuną o jeden dzień jego upadku, jeżeli nie posiada on żywych cnót obywatelskich, dobrego obyczaju, energji i patrjotyzmu.

Nie masz nic bardziej zwodniczego i powierzchownego, jak ten literacki punkt patrzenia na rzeczy i dzieje narodów, że jeżeli dana epoka zajaśniała dziełami literatury, olśniła imaginację współczesnych, dała im nowe wzruszenia, to już uczyniła wszystko, co do niej należy.

Opłakane złudzenie!

A teraz wróćmy do Zdziechowskiego i jego fatum.

Oprócz wartości filozoficznych, literackich i moralnych, tak potrzebnych do zrozumienia ducha czasu i jego głównych prądów w wieku dziewiętnastym i naszej części dwudziestego — Marjan Zdziechowski będzie zawsze postacią interesującą historyków, krytyków i psychologów, którzy będą chcieli rzucić światło na tę niezmiernie bolesną i powikłaną sprawę przenikania obyczajów, pojęć i chorej psychiki rosyjskiej do uczuć i wyobrażeń, do całej dziedziny naszego społecznego, duchowego i literackiego życia.

Widzieliśmy wprawdzie w ludziach i pisarzach, którzy wstąpili na arenę publiczną po r. 1863-im, ten złowrogi spór elementów, wzmagający się szczególnie w okresie pierwszej i drugiej rewolucji rosyjskiej, gdy z gruzów rozwalonego przez anarchję Imperjum wypełzły wszystkie hydry nierządu, buntu, zniszczenia, usprawiedliwionej również zemsty za całe wieki ucisku i hańby, za katorgi i szubienice. Ta „wolność" rosyjska, która w r. 1905 i 1917 tak triumfalnie została powitaną, oraz hipnoza wschodnia, tak znamienna dla plemion i narodów niedojrzałych lub zwyrodniałych, uderzyły we wszystkie słabe strony naszego wycieńczonego organizmu, pozbawionego świadomości narodowej i poczucia odpowiedzialności, pozbawionego ludzi zupełnych, umiejących wykreślać drogi społeczności historycznej.

Otóż w pismach i studjach Zdziechowskiego znajdujemy wielkie ułatwienie dla zrozumienia filozofji i psychologji rosyjskiej, znajdujemy gościńce i ścieżki, któremi płynęły te uchwytne i nieuchwytne fale najazdu, nie mniej groźne od najazdu zbrojnego, przenikającego do samego wnętrza ludzi i rzeczy, do wnętrza słabych i nieodpornych.

Ażeby zmierzyć, a raczej wyczuć siłę i głębokość tych fal, należało się na nich położyć, należało płynąć razem z falami, odrzucić na jakiś czas wiosła i zdać się na łaskę wzbierających nurtów. Nie mogło to, naturalnie, być programem i celem myślicieli lub polityków, krytyków lub artystów pracujących w warunkach mniej więcej normalnych. Oni powinni byli mieć się zawsze na baczności, bronić się przed hipnozą, tak nęcącą a zdradliwą dla słabych.

Ale trudno wyobrazić sobie społeczeństwo, trudno wyobrazić sobie nawet uczonych, filozofów i estetyków, złożonych z samych stoików, z Marków Aureljuszów i Epiktetów, widzących we wszystkich powabach, pokusach i olśnieniach życia tylko marne i znikome pozory, niegodne rozumu, niegodne uwagi męża cnotliwego, patrjoty i obywatela. Polska, zwłaszcza po upadku politycznym, znalazła się na rozstajnych drogach, rozrywana prądami odśrodkowemi, przeszywana nawskroś wichrami wschodniemi, nie posiadała busoli i równowagi.

Śród takich prądów rozbieżnych, gdy wszystkie kształty patologji wschodniej zapełniały wnętrze naszego życia, gdy szkoły i uniwersytety zmuszały młodzież polską do obcowania z literaturą rosyjską, wielka zaś poezja nasza, rzucająca blaski swego wspaniałego natchnienia na posępne niwy naszego stłumionego i stratowanego życia, wyłączana z obiegu publicznego przestała oddziaływać na imaginację jednej, drugiej trzeciej generacji, na imaginację wielkiej masy, literatura i psychologja z nad Niewy i Wołgi wtargnęły brutalnie do wydziedziczonej i osieroconej duszy polskiej, przenikały ją swojem tchnieniem, tak często zatrutem, nadewszystko zaś ideą odmiany, przewrotu, zniszczenia.

Tylko rodzina mogła i powinna była w danych warunkach stawiać tamę zalewowi, strzec świętości ogniska polskiego, wychowywać dzieci i młodzież w zasadach i podaniach patrjotyzmu i obowiązku. To atoli przerastało często siły i środki otoczenia, za to władało fatum rzeczami i ludźmi. Do zrozumienia tego fatum są właśnie niezbędne książki i pisma Zdziechowskiego.

Miłosz Gembarzewski

Prawo do pancerza

— On jeden, a nie trzej współcześni mu królowie „elekcyjni", miał prawo do pancerza, i uwiecznienia się w nim na wizerunku: Jan Tarło z Tęczyna hrabia i z Szczekarzowic.

Odłamami wielkiego światła, rozproszonemi w dziełach o t. zw. Polskiej Wojnie Sukcesyjnej i Konfederacji Dzikowskiej, w życiorysach Adama Tarły i ks. Stanisł. Konarskiego, skroś karty Historji Polski pisanej przez Szujskiego, albo prof. Sobieskiego, dokumenty archiwalne etc., przeglądają przyczynki, dozwalające odtworzyć dzieje życia wielkiego patrjoty Jana Tarły.

Trzeba było wyplenić wszelkie chwasty, to jest nieporadne domyślniki, niezręczne aluzje, złą wolę często pisarzów, życiorysujących klientów i wychowańców obywatelskiej szkoły tarłowskiej kosztem jej twórcy, którego musimy poznać.

Jan Tarło, ur. 1684 r., zm. 1750 r., był synem Stanisława, wojewody lubelskiego i Teresy z Duninów Borkowskich; przez matkę w prostej linji prawnuk poety Jana Kochanowskiego z Czarnolasu, którego córka Elżbieta była za Mikołajem Duninem Borkowskim. W tym wypadku stopień najwyższy nie jest przesadą: najstarożytniejszy z magnackich rodów polskich, Tarłowie z Tęczyna (dawnością, w pewnej mierze, bliscy im jedynie Tarnowscy - Leliwczykowie) i szczerze polska rasa, wydali człowieka, początkującego pracę Odrodzenia, jawnego także w czynach swoich podkomendnych (Józef Pułaski, ojciec Kazimierza, konfederat już w 1733 r., i tylu innych potem), albo wychowańców, klientów (Radzewski, ks. Stan. Konarski ect.).

Współczesny Janowi Tarle historyk pisze o nim wyraźnie: „Żadnej w Ojczyźnie okoliczności publicznego interesu nie było, któregoby on albo nie dotarł zupełnie, albo nie ułacnił"... „Z funkcyi które na sobie utrzymywał poznać jego zasługi w Ojczyźnie" (Niesiecki).

W dwudziestym roku życia był nie tytularnym dworakiem, lecz sędzią ziemskim lubelskim, posłował na sejmy; później, mianowany starostą kamienieckim, latyczowskim, medyckim, sokalskim, pułkownikiem kawalerji, marszałkiem Trybunału Koronnego, przez kilka lat był podstolim W. X. Litewskiego, potem prezydującym Komisji Skarbowej, wojewodą lubelskim, generałem Ziem Podolskich, generałem lejtnantem i komendantem naczelnym artylerji koronnej, deputatem do układania konstytucji w 1718 i 1726 r. „gdzie wielkiej pracy w korekturze Trybunału i w ordynacji Księstwa Kurlandzkiego dołożył". W 1726 r., nie ubiegając się o ten zaszczyt, w imieniu Państwa Polskiego wiódł szczęśliwie układy ze Stolicą Apostolską, a wszystkie koszty poniósł jedynie z własnej szkatuły.

Parokrotnie już zwrócono uwagę, że t. zw. Polska Wojna Sukcesyjna 1733 — 1736 r. nosi znamiona wszystkich późniejszych powstań. Szerzej o tem pisał prof. W. Sobieski („Polska, jej dzieje ect. t. II, str. 203), zresztą przeceniający rolę króla Stan. Leszczyńskiego. Nie można się tak że zgodzić z prof. Sobieskim, aby walczący wtedy mężnie z Moskalami na Litwie, potem wśród Kurpiów, Parzkowski przypominał Kościuszkę, — podobni Paszkowskiemu byli raczej Kazimierz Pułaski (choć mniej rozważny) i Czachowski, później, w r. 1863 r.

Po śmierci Augusta II Sasa, gdy syn jego, sprzymierzywszy się z Rosją i z Cesarstwem Niemieckiem, chciał wpływać na wolne postanowienia narodu polskiego — nie imię kandydata — Leszczyńskiego, ale wezwania do obrony wolności własnej we własnym domu powołały do szeregów patrjotów.

3 lata trwała wojna powstańcza. Nie oddano wrogowi ani kawałeczka polskiej ziemi. Teren działań był bardzo obszerny: cała Polska. Z Polską sprzymierzeni byli tylko zawodni Burbonowie francuscy i hiszpańscy,

Stan wojny: od Dniepru do Renu.

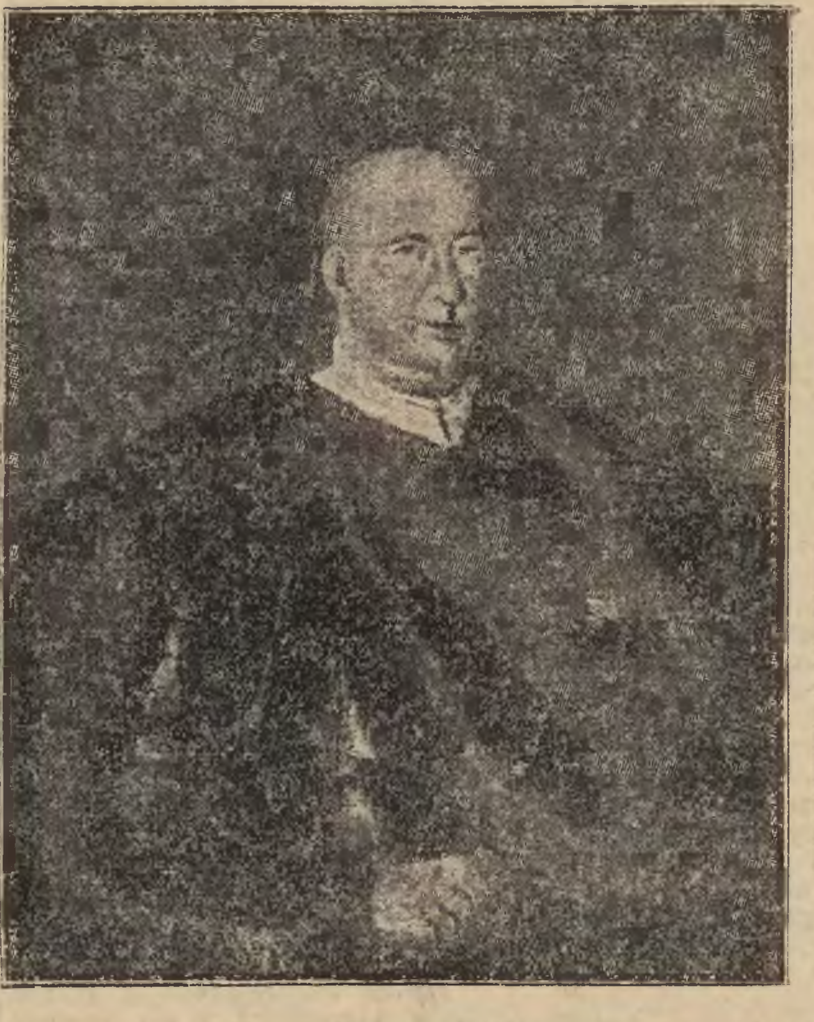
„Cudny jest ten świat, kiedy z zorzą [bladą,
Na powstański bój, polskie pany jadą"

Tyle znanych nam imion. Walery Sokolnicki w Wielkopolsce; jest oddział Chłopickiego na Podolu, Ogińscy na Litwie; Poniatowski, dziadek ks. Józefa; pod Korelicze ciągnie ze zbrojnymi Zawisza, rotmistrz Czerniawski; Mielżyński ku Śląskowi; Paszkowski wszechobecny, dawny pogromca hr. Maurycego Saskiego.

W pierwszym szeregu cały ród Tarłów: Jan, wojewoda naonczas lubelski, głowa domu, a za nim Adam Tarło, syn Stanisława, starosta jasielski, marszałek konfederacji, Antoni Tarło, starosta złotoryjski, Karol Tarło, starosta i rotmistrz ziemi Stężyckiej, Adam Tarło, syn Józefa, starosta goszczyński, generał - major.

Na sto lat niespełna przed 1831 r., wodzowie, wierzący w Sprawę, pobili generałów Birkholza pod m. Wartą, von Schybilsky'ego pod Moszyną, Izmaiłowa pod Wilnem. (Dokładny, choć może zbytnio uległy danym z ówczesnego djarjusza opis tej kampanji, jest zasługą prof. dr. Stef. Truchima: „Konfederacja Dzikowska"; opis ówczesnego oblężenia Gdańska dał po Jarochowskim dr. M. A. Wodziński).

Liczbę wojsk rosyjskich, walczących przeciw tarłowczykom określa dr. Truchim na 50—60 tysięcy: jest to najbliższe rzeczywistości; Hubert i inni mówili o 50 — 70 tysiącach; sam rosyjski głównodowodzący feldmarszałek Münich pisał, że miał pod rozkazami 90-tysięczną siłę. Austrjaków wystąpiło 12 tysięcy; Sasów pod wodzą ks. Sax - Weissenfels, było według archiwaljów 20 tysięcy. Dane o naszych siłach (według prof. Truchima), podają, że Ogiński i Pociej mieli 8 tysięcy



Jan hr. Tarło

zbrojnych pod Koreliczami; w Wilnie, Brzostowski zebrał korpus 10-ciotysięczny. Adam Tarło, zdobywając twierdzę Kargowę, w marszu na Śląsk miał mieć 18 tysięcy ludzi; w każdym razie z dużą siłą musiał się kusić o przedarcie do Saksonji, by zagrozić Dreznu.

Spośród nawału zjawisk wojennych polskiego powstania z 1733 — 1736 r., wspominamy dziś o jednym epizodzie, rozegranym lat temu równo 200, w ostatnich dniach kwietnia 1734 r. — Ucieczka niewojennego króla St. Leszczyńskiego do Gdańska spowodowała, że tam kierowały się nieraz siły powstańcze. W marcu 1734 r., regimentarz Józef Potocki (później za zdradę nagrodzony przez Sasa buławą), przebywał przy żonie w Stanisławowie; „kiedy zażądano od niego, by ruszył z odsieczą, przeraził się bardzo"; — dowództwo wyprawy pod Gdańsk objął więc wówczas rzeczywisty (potem, i z mianowania) wódz naczelny Jan Tarło, który z południowej Sandomierszczyzny ruszył już 8 marca, lecz zmuszony był czekać na posiłki niechętnie słane przez Potockiego; jednak już 15 marca, najzręczniej przemknąwszy się wśród Sasów i Rosjan, Tarło, pomnożył swój oddział, stanął w Iłży, poczem wśród niebezpieczenstw, nie chcąc się uwikłać w boje przed osiągnięciem celu, bez zorganizowanej prowiantury, sam łożąc na żywność, musiał jednak podążać na Nieborów, Strzechów i już 7 kwietnia był w Bydgoszczy, gdzie połączył się z oddziałem kasztelana Rudzińskiego i gen. Kampenhauzena. „Siły wojewody (w czasie marszu, nasz przypis) były małe, konie były liche, zmizerowane marszem, ludzie niewyćwiczeni". (Prof. Truchim, j. w.). W tych okolicznościach, uwydatnia się, jak zręcznie manewrował Tarło w pochodzie od Sandomierza na Pomorze. Nikt powiedzieć nie śmie, aby tylko rzymskim frazesem były słowa, któremi żegnał małżonkę, jadąc na wojnę: „Więcej powinienem Ojczyznę, niż WPanią kochać".

Pod Bydgoszczą złączyły się z Tarłem oddziały wielkopolskie Sokolnickiego i Załuskiego; siły jednak nie były dostateczne, a feldmarszałek Münich już słał gen. Zagriażskiego i Birona spod Gdańska; z Wielkopolski sunęły tysiączne zastępy ks. von Sax - Weissenfels. Mimo wszystko, dbały o siebie Stanisław Leszczyński upraszał Tarłę o pomoc. Niegodne zachowanie się Leszczyńskiego w dniach oblężenia Gdańska, opisał już dawno Jarochowski. Ten król nominalny, później w Królewcu, przyrzekał koncesje na Pomorzu Prusom; nic więc dziwnego, iż według świadectwa Matuszewica, Jan Tarło tak „infestował nieporadnego pretendenta, że Leszczyński gotów był uciec i od swoich zwolenników, a wkońcu w tajemnicy przed nimi złożył przedwcześnie koronę, wzbudzając oburzenie.

Ale 8 kwietnia 1734 r., powstańcy jeszcze szli na odsiecz Gdańska. Tarło odbył przegląd wojska w Koronowie, poczem wypełnia swój plan, który dałby pełne zwycięstwo, gdyby nie zdrady. Dla wiadomości o siłach rosyjskich słał pan wojewoda do gen. Zagriażskiego propozycje zawieszenia broni, które miało być wykorzystane na porozumienie się z komend. Gdańska Wittinghoffenem, aby jednocześnie, z miasta i z zewnątrz, uderzyć na oblężających; przedtem też chciał polski wódz rozesłanemi oddziałami, znieść wrogie garnizony w Toruniu i w Elblągu. Gen. Zagriażskij, przerażony postępami Tarły, sam z całym sztabem zjawił się pod Tucholą w obozie polskim; zawarto „armisticium" i adjutantowi naszego wojewody, Idzikowskiemu, dozwolono wyjechać do Gdańska. O to chodziło Tarle, który też wywiódł w pole Rosjan, ułożywszy się, że sam pomaszeruje do Nakła. Zagriażskij miał na myśli Nakło wielkopolskie, Tarło — udał się do Nakła pomorskiego.

Wieści od Leszczyńskiego o „bliskiej" pomocy francuskiej, i dawniejsza porażka kaszt. Rudzińskiego mieszały szyki polskiemu wodzowi. Tymczasem feldmarszałek Münnich, widząc, że Tarło zdołał już zaszachować armję gen. Zagriażskiego, odebrał komendę Zagriażskiemu i wysłał nowe pułki pod nacz. wodzą gen. Lascy, a Idzikowskiego rozkazał aresztować. Tarło, po rycersku, uważał zawieszenie broni za pewne, a miał w swych szeregach 12 tysięcy ludzi: niewyćwiczonych konfederatów i zaciężnych. Niestety: „wojska cudzoziemskie Tarły stały oddawna w tajemnej zmowie z Rosjanami i Sasami". Wodziński, j. w., str. 132).

Mimo zdrady, wojewoda nasz, wobec wroga łamiącego umowę, i spowodu odstępstwa zaciężnych, dnia 18 kwietnia, w bitwie pod Ossowem (to nazwa właściwa, a nie Wysoczyn przerobiony z niemiec. Wutzkow, inny Wuckow=Gocków), stawiał tak silny opór przez kilka godzin, że feldmarszałek Münnich musiał w raportach oddać sprawiedliwość męstwu Polaków. Nie mogąc się porozumieć z Gdańskiem w sprawie jednoczesnego uderzenia, powstańcy idąc niezłamanemi szeregami, jeszcze raz mocno starli się z wrogiem pod Puckiem. Były to ostatnie polskie boje na Pomorzu.

Współczesny historyk, daleki Tarłom, biograf ks. Konarskiego musi przyznać:

„Nie posunął się Tarło nigdy do sprzedawania przekonań politycznych, umiał w każdej chwili ryzykować życie i majątek dla sprawy narodowej".

Sto lat temu, Fr. Kowalski, pamiętnikarz, i popularny wówczas tłumacz Molier'a, wypisy swoje z archiwum tarłowskiego, poprzedził przedmową o Janie Tarle, który: „.zastępował próżny często skarb Rzpltej... bez żadnej myśli upominania się... człowiek ten niepospolity, nie wspominając już cywilnych niezliczonych prac jego". (Arch. Krasińskich, rękopisy).

Portret, zachowany w Opolu Lubelskiem, przekazał nam rysy mądrej twarzy silnego człowieka, jednego z 24-ch senatorów Tarłów — świadectwa żywego naszej wiekowej kultury.

W. Narusz

Opera, opera...

Jest pewien gmach w Warszawie, ogromnych rozmiarów, dominujący nie tylko nad placem, któremu dał nazwę, ale nawet i nad dzielnicą, która w potocznym języku również zwie się teatralną. Gmach mieści w sobie aż trzy teatry, z których dwa roszczą sobie pretensję do pozycji reprezentacyjnych. Jeden z nich nazywają Wielkim, albo poprostu Operą. Nie wiem dlaczego oddawien dawna wyraz „opera" w żargonie ulicznym oznaczał coś niebywale komicznego. Nie dziwiłbym się, gdyby to poszło od wydarzeń sezonu bieżącego.

Teatr Wielki nosi na sobie znamię dostojności. Dostojności tragicznej, takiego widowiska, które powagą akcji nie wzrusza, lecz wywołuje uśmieszek, prowokując potem do montowania parodjujących obrazków, którym publiczność szczerze bije brawo. Dostojności nad wyraz przykrej, gdy z niebywałą powagą ogromnego afisza ogłasza o wystawieniu jeszcze jednej operetki słowami: „Po raz pierwszy w Polsce"... lub wręcz irytującej, gdy otwiera zrzadka swoje podwoje przedstawieniem, na które wszystkie miejsca zostały sprzedane rozmaitym instytucjom, obchodom, zjazdom i wycieczkom zapychającym salę, do której zwyczajny widz, pomimo najszczerszych chęci dostać się nie jest w stanie. Właśnie myślę, do jakiego stowarzyszenia mam się zapisać, ażeby ujrzeć „Popieliny" Kondrackiego. Wybiorę zapewne związek młodzieży wiejskiej, bo przy tej okazji paradując w pasiastych portkach zwiedzę i Zamek królewski i Łazienki, by dotrzeć wreszcie przez Rynek Starego Miasta do Opery, gdzie śmiać się będę potem w kułak z pospolitego warszawiaka, odchodzącego w moich oczach od wogóle nieotwieranej kasy. Na wszystko jest sposób.

Coś się jednak bardzo źle dzieje. Już nawet i „Żydówki" w soboty nie dają, a to się przecież zawsze opłacało. „Jonny" Krenecka nie podbił Warszawy mimo pociągającego (!) tytułu „Jazz - band, murzyn i kobiety". Sytuację ma ratować „Giuditta" Lehara, oczywiście jeśli idzie o kasę, a nie reputację, mimo, iż dla niej także coś zrobiono; zapewniono bowiem, że mamy tym razem do czynienia nie z operetką, ale komedją muzyczną.

Ale w tem miejscu to już należy zmienić ton żartobliwy na poważny. Chodzi przecież o jeszcze jedną placówkę kultury.

Wmawia się wszystkim od jakiegoś czasu, że zespół operowy także musi żyć, jakgdyby kto mógł twierdzić inaczej. Ale rezultatem takiego omawiania jest układanie programu wyłącznie pod kątem obrotu pieniężnego i to nikogo nie dziwi. Inna rzecz, że takiem założeniem robi się błąd i nie robi się — kasy. Przypomina się historja sprzed trzydziestu lat, gdy Filharmonja ignorując (nawet) muzykę symfoniczną, zajmowała się urządzaniem conajmniej niepoważnych imprez, nie dla innego celu, jak dla reperowania swoich finansów. Publiczności nawet się to podobało, ale wreszcie przyszedł męski protest muzyków z młodym entuzjastą Karłowiczem na czele. Dzisiaj przez sześć dni w tygodniu wyświetla się w sali Filharmonji obrazy filmowe, ale przecież nie są one włączone w program artystycznej działalności instytucji. Gdyby Opera wyraźnie odgrodziła siebie murem od przedsiębiorstwa, będącego dotychczas monopolem ulicy Bielańskiej, wypożyczając mu z konieczności tylko swej sali, powiedzielibyśmy może — trudno! Ale gdy się je kładzie na swej linji programowej i jeszcze bez poczucia, powiedzmy — smaku ogłasza: „Po raz pierwszy w Polsce", to już trochę za wiele.

Dlaczego do tego wszystkiego doszło? Zaczęło się od najzwyklejszej wymiany poglądów, które w imię pogoni za nowostkami głosiły przeżycie się samej opery. Snoby poczęły kiwać potakująco głowami, nie zdając sobie sprawy, że pogląd taki tkwił nawet już wówczas w nieco zastarzałym naturalizmie. Bo gdyby nagle zrozumiały, kto wie, czy sala nie byłaby znowu pełna.

W głowie się poprostu nie może pomieścić taki sąd, który twierdzi, że teatr wzbogacony elementem muzyki jest przeżytkiem, podczas gdy inne, pozbawione jej, mają prawo bytu. Ale tu dochodzimy do sedna rzeczy. Właśnie opera zapomniała o tem, że jest przedewszystkiem teatrem, utknęła w pewnym punkcie rozwoju i poczęła się degenerować. Coraz częściej traktowano scenę jako estradę, tak, że wkrótce doszło do jakiejś jednej wielkiej pomyłki, w której dekoracje sprawiały wrażenie niepotrzebnie porozwieszanych łachów, a kostjum wydawał się zabłąkanym przypadkiem. Za tem wszystkiem gra aktorska zeszła poprostu na psy. Nikt się na nią nie silił, wystarczał niewielki zasób kilku ruchów „uświęconych tradycją" i przedstawienie się odbywało. „To ci dopiero była opera!" —powiem językiem ulicy. Już tylko prostą koniecznością była owa maniera, której ogół nie może już oddzielić od istoty sprawy. A wkońcu i ten pogląd, któremu się nie oparli i kompozytorzy.

Jest jeszcze jedno wielkie nieporozumienie. Myślę w tej chwili o muzyce „poważnej" i „niepoważnej". A to przecież jest takie proste. Muzyka poważna, to muzyka dobra, chociażby miała nawet najbłahszą formę, muzyka niepoważna natomiast jest muzyką złą, chociażby nawet była najpatetyczniejszą symfonją. Twórcy operowi szli za tym zwyczajem, który kazał tworzyć dla libretta aż przesyconego powagą, koturnowego, pompatycznego. I czasami łączenie z niem świetnej nawet muzyki dawało w rezultacie okropne sztuczydło, którego można było jeszcze słuchać, ale na które niepodobna było patrzeć. Próby stworzenia opery innej pociągały za sobą obniżenie poziomu muzyki, słowem, sytuacja stawała się bez wyjścia.

Warszawa miała na sobie jeszcze jeden grzech — tradycję opery włoskiej, ciążącą stale do dnia dzisiejszego. Ludzie nie wyobrażają sobie, żeby mogło istnieć coś obok niej, przyjmując ją nawet jako jedyną miarę wartości. Nie chcę być źle zrozumiany i ściągać na siebie niesłuszny zarzut, jakobym niedoceniał włoskiej twórczości operowej. Sprzeciwiam się tylko jej supremacji. Owo wieczne dreptanie wokoło Verdi'ego, chyba nam już wszystkim zbrzydło porządnie. A tymczasem w bieżącym sezonie odnowiono „Aidę", jedną z najmniej szczerych jego prac. To już —przepraszam! Wolę „Rigoletta" w dekoracjach, przypominających wnętrze cukierni Semadeniego ze wspaniałemi lampami gazowemi w „renesansowych" świecznikach. Przynajmniej przenoszę się wówczas w inną epokę, wyczuwam lepiej jej smak, który pozwala mi wiele zrozumieć. Nawet ten czerwony pusz obicia krzeseł.

I dlatego proponuję: zerwać z nim już nawet raz stanowczo, wytrzepać i sprzedać tandeciarzowi. Przejść się potem po olbrzymich magazynach, obejrzeć zebrane dekoracje, pofotografować dla dokumentu, wytrzepać i sprzedać temu samemu. Jedno z nielicznych, a zawsze zabytkowych przedstawień sfilmować (systemem dźwiękowym) na pamiątkę i dla odstraszającego przykładu, również dla dokumentu. Zresztą zrobi się na tem dobry interes, bo to i będzie wzruszało (jako smutne) i śmieszyło (jako komiczne). Za zarobione pieniądze wpuścić do wewnątrz prawdziwych aktorów, prawdziwych malarzy (czyja zasługa, że „Twardowski" idzie i idzie?), prawdziwych reżyserów.

I zacząć wszystko od początku.